

Żywot bałwana — Galernik

Od autora: Mija rok od ostatniej tu wizyty co nie znaczy, że nie pracowałem. Wręcz przeciwnie. Powstało sporo nowych tekstów, krótszych i dłuższych. Niedawno wydałem zbiór humoresek i opowiadań pt. Anomalie. Oto jedna z nich.

Żywot bałwana

Miałem szczęśliwe dzieciństwo. Rodzice kochali mnie nad wyraz i okazywali to w sposób, który wydawał im się najlepszy. Ojciec, człowiek niezwykle pracowity i oddający się bez reszty temu co robił, nie mógł poświęcać mi zbyt wiele czasu. Wychodził z domu bardzo wcześnie i martwiąc się, aby nie stało mi się coś złego, przybijał mnie do podłogi. Mówiąc "rodzice" mam na myśli jedynie ojca, gdyż matki nigdy nie miałem. Mamusie rodzą dziewczynki, a tatusiowie chłopców, tak mi powiedział ojciec.

Tatus od urodzenia miał bardzo obszerne i zdrowe płuca oraz ogromne dłonie. Kiedy na swoje piąte urodziny zdmuchiwał świece, tort wraz z jego ojcem, ciotkami i gromadą dzieci z sąsiedztwa przylepił się do okna, a płonące świece zapaliły firanki. Domu nie udało się uratować.

W szkole podstawowej miał trudności z pisanie. Obsadki ze stalówką łamały się w jego paluszkach jak zapalki, długopisy także okazywały się nieprzydatne. Za każdym razem kiedy próbował coś napisać, przebijał nimi nie tylko zeszyt ale i blat ławki. Był za to najlepszy z wychowania fizycznego. W piłkę nożną co prawda mu nie szło, bo choć miał pokaźne dłonie, wielką klatkę piersiową oraz dużą głowę, to stopy miał malutkie i rzadko trafiał w piłkę. Był za to mistrzem w koszykówce, pchnięciu kulą z przysiadu i podnoszeniu ciężarów na czas. Co prawda w ostatniej klasie podstawówki nie potrafił się nawet podpisać, ale i tak zakończył ją z wyróżnieniem z powodu licznych dyplomów i pucharów sportowych, które szkoła mu zawdzięczała.

Dalsza edukacja nie była mu do niczego potrzebna, szybko dorósł i rozpoczął pracę zarobkową. Potrafił w kilka minut napełnić dłońmi worek zboża czy załadować furmankę węglem, a kiedy pojawiłem się już na świecie, przybić mnie do podłogi dwoma uderzeniami pięści.

Tatus zawodowo zajmował się rozgarnianiem powietrza. Było to bardzo intratne zajęcie i ojciec miał pełne ręce i płuca roboty. Kiedy biegł i robił rękoma młynka, powietrze się rozrzedzało. A jeśli dodatkowo silnie dmuchał, tworzyło się podciśnienie. Miało to fantastyczne zastosowanie praktyczne, ponieważ ojciec wynajmował się jako rozrzedzający na najróżniejszych zawodach sportowych i to dzięki niemu wielu zawodników zdobywało medale. Wypuszczano go na bieżnię pod pretekstem sprawdzenia nawierzchni, ojciec robił dwa okrążenia, po czym wtajemniczony zawodnik osiągał lepszy wynik, a nie rzadko i rekord.

Choćby tak, jak na Olimpiadzie w Moskwie w 1980 roku. Ojciec, przygotowując bieżnię przed startem zawodników w biegu na trzy tysiące metrów, tak się zaangażował, że machając ramionami uniósł się w powietrze i pomylił trasę. Tak długo latał, aż niechcący rozrzedził powietrze na rozbiegu do skoku o tyczce. Właśnie skakał tam polski zawodnik i zorientował się, że coś było nie tak. Machał do sędziów, do publiczności, dawał dziwne znaki ale prawdopodobnie tego nie zauważyli. Tak więc, co prawda przypadkiem, ale dzięki mojemu ojcu Polak dostał złoty medal.

Jak już wspominałem, w trosce o moje zdrowie i bezpieczeństwo ojciec prawie nie wypuszczał mnie z domu. Tkwiłem całymi dniami przybity do podłogi, mając w zasięgu ręki przygotowane kanapki i

coś do picia. Obok mnie ustawiał kij od miotły, abym mógł odganiać bezdomne psy i niedźwiedzie, które zaległy się w okolicy w dużych ilościach i zaglądały czasem do naszego domu, zwabione zapachem moich kanapek z ogórkiem.

Czasem wiedziałem, że ojciec wróci późno, wtedy oswobadzałem się. Nauczyłem się tak manewrować stopami, że w końcu odrywałem je od podłogi wraz z deskami. Mieszkaliśmy wtedy na Podhalu, w starym domu z dębową podłogą. Dzięki temu wychodziłem w góry doskonale wyposażony i oddawałem się zimowemu szaleństwu. Zwykle udawało mi się wrócić przed ojcem i wpasować deski dokładnie w to samo miejsce. Mokre plamy po roztopionym śniegu ojciec szybko wycierał, biorąc je za skutek mojego długiego pozostawiania w domu.

Pewnego słonecznego zimowego dnia, kiedy upajałem się mroźną pogodą i nowo poznaną gorącą koleżanką, zostałem nakryty przez ojca. Zjawił się na stoku niespodziewanie i jak gdyby nigdy nic, zaga-
dał:

- Fajna lala, poznasz mnie?

I klepnął mnie w plecy tak mocno, że straciłem równowagę i poleciałem w dół. Nie zjeżdżałem jednak na deskach, tylko koziółkowałem, oblepiając się śniegiem do tego stopnia, że na samym dole byłem wielką kulą śnieżną. Ojcu prawdopodobnie bardzo się ta zabawa spodobała, bo za chwilę zaczęły staczać się następne kule. Wylądowałem szczęśliwie twarzą w stronę stoku, widziałem więc co się tam dzieje. Ojciec brał w dłonie każdego narciarza, oblepiał śniegiem i spychał w dół bawiąc się przy tym świetnie, klaszcząc w dłonie i podskakując. Sturlał w ten sposób wszystkich. Starszy i młodszy, chłopiec czy dziewczyna - narciarze, saneczkarze, spacerowicze, wszyscy zostali przeistoczeni w mniejsze lub większe kule i kulki. A gdy został już sam, zrolował pozostały na stoku śnieg, zarzucił go sobie na ramię i zszedł dostojnym krokiem. Tu zlustrował swoje dzieło, rozwinął rulon, wybrał trzy kule, a pozostałe rozbił pięścią, uwalniając znajdujących się tam ludzi. Moja dziewczyna zdążyła oswobodzić się sama, gdyż jak wspomniałem, była bardzo gorąca.

Pozostałem ja i dwie inne osobokule. Ojciec bardzo zręcznie utworzył z nas pokaźnych rozmiarów bałwana. Ja znalazłem się na samym szczycie. Podejrzewam, że tatuś wiedział, w której kuli się znajduję, i świadomie mnie tam zainstalował, potwierdzając tym samym jak bardzo mnie kocha. Zdjął bowiem z szyi swój wielki szal i zawiązał wokół mojej, bałwaniej. Kochany tatuś. Mało tego, następnego dnia, dowodząc swojej troski, przyniósł kapelusz i wsadził mi go na łeb. No i jeszcze marchew, którą umieścił w okolicy mojego nosa. Dzięki temu mogłem sprytnie podgryzać to zdrowe i pożywne warzywo, zachowując całkiem dobrą formę. Ponieważ jako największy okoliczny bałwan stałem się niemalą atrakcją, przychodziło oglądać mnie wielu mieszkańców i turystów. Dzieci tańczyły, śpiewały piosenki, a kiedy tylko ktoś zauważył brak nosa, natychmiast był on uzupełniany. Tak zaczęło się moje drugie życie. Życie bałwana. Temperatura mojego ciała z 36,6 stopni Celsjusza spadła do ok. 18 - 19, co spowolniło przemianę materii. Moje ciało stopniowo zaczęło się spajać ze śniegiem, rozwodniło się czy raczej rozśnieżyło. Zamiast zwykłych siedemdziesięciu było we mnie, jak sądzę, co najmniej dwięćdziesiąt pięć procent H₂O. Marchwi miałem pod dostatkiem, nauczyłem się nawet wsysać ją do wnętrza i przechowywać w okolicy lewego barku na wypadek jakiegoś kryzysu z dostawami. Na szczęście nigdy to nie nastąpiło i mój marchwiowy barek przy barku zawsze był pełen.

Ktoś włożył mi węgielki w oczy i trochę je zaproszył, ale z drugiej strony podziały one jak okulary przeciwsłoneczne, co uleczyło moją nadwrażliwość na światło. Mały problem był jedynie z dłońmi, marzły mi palce. W chwili kiedy ojciec zastał mnie na stoku z koleżanką, byłem bez rękawiczek.

Moje dłonie znajdowały się wtedy w bardzo przytulnym, ciepłym środowisku i absolutnie nie marzły. Za to teraz musiałem je rozgrzewać, zginając i prostując palce, oczywiście na tyle, na ile pozwalała sytuacja.

Zima tego roku była niezwykle długa i mroźna, co mi zupełnie nie przeszkadzało. Trwałem w swoim osobistym igloo, oglądałem wschody i zachody słońca, słuchałem śpiewu dzieci, ptaków i plotek bab, które przesiadywały na pobliskich ławeczkach. Najgłośniejsza wśród nich była stara Maciaszczykowa, która wszystko wie i wszędzie jej pełno. I to z jej ust właśnie padło pewnego dnia złowieszcze słowo: "telewizja!" Okazało się, że wiadomość o moim istnieniu dotarła do Warszawy i wkrótce mają się pojawić dziennikarze, aby tu, w terenie, zapytać mieszkańców co sądzą o Wielkim Bałwanie.

I faktycznie po kilku dniach skoro świt zjechały samochody z antenami na dachach, powysiadali z nich dziennikarze, pracownicy obsługi technicznej porozstawiali kamery, reflektory - i zaczęły się przygotowania do transmisji. Zeszli się mieszkańcy i wyselekcjonowano kilka przypadkowych osób, które miały się spontanicznie wypowiedzieć. Trwało ogólne poruszenie, plątały się kable, technicy biegali gorączkowo, reflektory grzały niemiłosiernie.

Właśnie wtedy zacząłem tracić stabilność. Z powodu ciepła zaczęły się budzić osoby drzemiące dotąd spokojnie w kulach pode mną. Mało tego, podwyższona temperatura, a może jakieś fale elektryczne czy elektromagnetyczne spowodowały, że ożyła moja komórka. Ktoś do mnie zadzwonił i rozbrzmiała pieśń "Kiedy ranne wstają zorze", którą miałem ustawioną jako dzwonek.

Dziennikarze błyskawicznie na to zareagowali, poszły w ruch kamery i już za chwilę Maciaszczykowa ogłaszała, że ten Bałwan to cud i to ona go ożywiła przynoszoną osobiście dorodną marchewką ekologiczną z własnego ogródka. Kiedy zapytano księdza proboszcza, ten stwierdził, że to objawienie i że parafia została tym wyróżniona, bo mieszkańcy są bogobojni, sprzątają po psach i nie używają torebek jednorazowych.

Reporter po wysłuchaniu jeszcze kilku opinii mieszkańców zwrócił się do specjalistów - ministra Kultury, Sztuki i Kolei Żelaznej oraz dyrektora Muzeum Sztuki Bardzo Nowoczesnej. Pierwszy stwierdził, że bałwan jest naszym dobrem narodowym, że to sztuka ludyczna, pierwotna, i zawsze popierał jej przejawy wśród prostego, ubożego ludu. Drugi, że to prawdziwa sztuka konceptualna, ma wiele znaczeń i że niesie przesłanie. Nie powiedział jakie.

W tym momencie zjawił się mój ojciec. Stanął przed rozmówcami, wyrwał dziennikarzowi mikrofon i wprost do kamery oświadczył, że Wielki Bałwan to jego dziecko, jego dzieło. Powiedział, że ma na to niepodważalne dowody w postaci szalika i kapelusza. Uwierzono mu bez zastrzeżeń, tym bardziej, że na moim łbie był jeszcze odcisk jego wielkiej dłoni.

Tatuś zyskał od tego czasu sporą popularność, zapraszają go do telewizji, radia, wypowiada się na różne tematy. Ostatnio zapytano go, czy wierzy w UFO i czy lubi jajka na miękko. Powiedział, że tak.

Przykro mi to mówić, ale mimo że przebywam teraz w muzeum w specjalnej zamrażarce, to trudno tu jak jasna cholera. Nie ma dzieci, a kiedy przyjdą z wycieczką szkolną to się śmieją. I nikt nie dostarcza świeżych marchewek, dobrze, że sobie trochę zachomikowałem. Dzielę się z tymi co pode mną, choć nawet nie wiem kim są. Jest jeden plus tej sytuacji. Zgodnie z porozumieniem podpisanym pomiędzy Ministerstwem Sztuki Bardzo Nowoczesnej a proboszczem raz do roku jestem przenoszony do mojej wioski, do kościoła. Tam przynajmniej coś się dzieje, śpiewają, modlą się do mnie. I zawsze wtedy ktoś przyniesie świeżej marchwi.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Galernik, dodano 08.05.2022 10:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.